

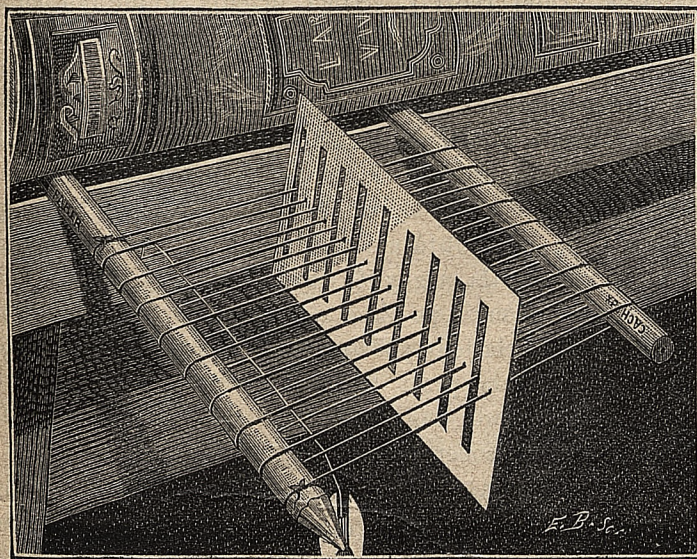


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

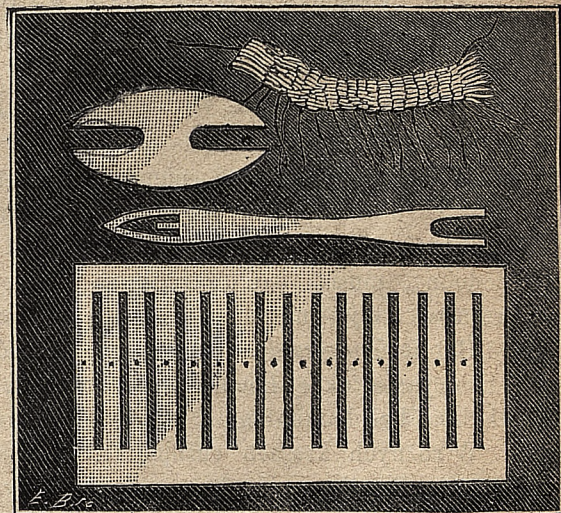
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i-kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Warsztat tkacki fig. 1.



Części warsztatu fig. 2.

WARSZTAT TKACKI.

Nie każdy ma sposobność widzieć, jakim sposobem wyrabia się płótno na warsztacie. Podajemy więc czytelnikom naszym dowcipny sposób urządzenia malutkiego warsztaciku tkackiego z materiałów, które każdy znajdzie z łatwością pod ręką. Nie może on zapewne iść w porównanie z wydoskonaleniami przyrządami, używanymi dziś w przemyśle, daje je-

dnak dostateczne wyobrażenie o robocie tkacza. Niejeden zapewne z czytelników zechce ten warsztacik według naszych wskazówek zrobić, a potem, przypatrzwszy się mechanizmowi, ofiaruje go do zabawy młodszemu rodzeństwu.

Dwa ołówki okrągłe, bilet wizytowy z twardego papieru, scyzoryk, trochę nici, nóż drewniany lub kościany do rozcięcia kartek, oto są wszystkie przybory potrzebne do tój roboty. Figura 2-ga, po prawej stronie umieszczona, przedstawia wszystkie główne części warsztatu i tasiemeczkę,

którą na nim utkać można. Ów pasek podłużny, mający szparki równoległe i dziurki, nazywa się *plocha*; wyżej widziacie dwa *czółenka* niejednakowe, oba przydać się mogą. Nic łatwiejszego, jak powycinać to wszystko podług wzoru szczytorem, dziurki zaś poprzekalać grubą szpilką.

Teraz można już przystąpić do właściwego tkania, które jest przedstawione na Fig. 1-szej. Dwa ołówki kładą się na stole w pewnym odstępnie od siebie, w taki sposób, aby końce ich wychodziły nieco poza brzeg stołu. Żeby się ołówki trzymały mocno w tém położeniu, można je przycisnąć do połowy ciężką jaką książką, jak wskazuje rycina. Następnie trzeba naciągnąć na warsztat *osnowę*, tak się nazywa nić, idąca wzdłuż tkaniny. Rysunek bardzo dokładnie wskazuje, jak się to robi: koniec nici przytwierdza się najpierw do ołówka, potem przewleka przez pierwszą dziurkę płochy, ustawionej prostopadle do stołu, owija się tę nić na drugim ołówku i prowadząc w kierunku odwrotnym, przewleka się przez szparkę płochy, po dziurce następującą. Takim sposobem nić snuje się kolejno przez wszystkie dziurki i wszystkie szparki, aż nareszcie uwiązuje się ją znów do pierwszego ołówka.

Połowa roboty już ukończona. Teraz bierze się druga nić, nawija się ją na czółenka, to będzie *wątek*, tak się nazywa nić poprzeczna, która przeplata osnowę, aby się utkało gęste płótno. Trzeba tedy najpierw podnieść płochę do góry, wówczas nici rozdzielą się, te, które są przez dziurki przeciągnięte, podnoszą się razem z płochą, pozostałe zaś w długich szparkach przesuną się na dół. Nic łatwiejszego, jak przeciągnąć czółenka, lub poprostu przerzucić je na drugą stronę warsztatu pomiędzy owemi nićmi. I znów z kolei płocha opuszcza się na dół, a wnet nici osnowy przybierają położenie odwrotne: te, które były wyżej, idą na dół, inne zaś podnoszą się w górę. Czółenka przebiega także w stronę przeciwną pomiędzy nićmi i powstaje ztąd taka plecionka, jak przy najwzyczajniejszym cerowaniu pończoch. Nóż drewniany służy do wyrównywania nici wątku w miarę, jak jedne obok drugich się układają.

Czy może być coś prostszego, nieprawdaż? A jednak trzeba było pewnego dowcipu, aby wpaść na ten pomysł i człowiek, który kiedyś w odległej starożytności urządził pierwszy warsztat podobny, musiał być uważany za wielkiego wynalazcę. Przemysł ten jest niezmiernie starożytny, w Egipcie, w Asyrii i Babilonie wyrabiano tkaniny od czasów niepamiętnych, Fenicyanie także słynęli z wyrobów tkackich, a że przytém wielkimi byli handlarzami, więc je po całym świecie rozwozili. W różnych krajach europejskich znaleziono zabytki ludów bardzo dawnych, które wyprzedziły Greków i Rzymian, a o których historycy prawie nie wspominali. Ci starożytni mieszkańcy Europy urządzali sobie mieszkania na jeziorach, budowali je na palach, wbijanych w dno wody. Otóż pomiędzy szczątkami, wydobytemi z miejsc, gdzie stały niegdyś takie nawodne mieszkania, znaleziono przyrządy tkackie i szmatki tkanin wełnianych.

Ludzie, mieszkający w klimacie zimniejszym, musieli przedewszystkiem myśleć o okryciu ciała i zabezpieczeniu go od chłodu. Najdawniejszém też zapewne ubraniem były skóry zwierzęce, człowiek mógł najłatwiej wpaść na myśl, aby od zwierzęcia zapożyczyć ciepłego futra, którego mu przyroda nie dała. Później spostrzeżono, że puszysta sierść, oderwana od skóry, mogłaby stanowić przyjemne, miękkie i cie-

płe okrycie, gdyby się trzymała kupy. Najdziksi ludzie umieją wyplatać maty z giętkich włókien roślinnych lub kose z łożyny; w podobny sposób w krajach, gdzie zimno ludziom dokucza w pewnej porze roku, zaczęto prawdopodobnie wyplatać z kosmyków wełny różne części ubrania. Z pewnością też jakieś roboty, podobne do drutowych i szydełkowych, wyprzedziły tkactwo właściwe.

Wełna owcza musiała także wszędzie wyprzedzić włókna roślinne, takie, jak len i konopie. Jednakże tkaniny lniane sięgają wielkiej starożytności, znano je w najdawniejszych czasach w Egipcie i Azji. Daleko później weszła w użycie bawełna, a także i jedwab, który tylko w Chinach znany był niezmiernie dawno. Cesarz Heliogabal, żyjący na 200 lat przed Chr. był pierwszym z monarchów rzymskich, który posiadał suknię jedwabną. Jeden z następców jego, Aurelian, nie pozwolił żonie swój stroić się w jedwabie, uważał to za zbytek. Dopiero w VI wieku po Nar. Chr. zakonnicy greccy sprowadzili z Chin jajeczka jedwabników i zaczęto je hodować we wszystkich cieplejszych krajach europejskich.

Bawełna w czasach dawniejszych tylko w Indjach była używana na ubiory; jednakże na sto lat przed Chr. wyrabiano już tkaniny bawełniane w Egipcie i w Arabii. Arabowie wprowadzili je do Europy południowej, lecz przemysł ten rozpowszechnił się dopiero, gdy zaczęto hodować bawełnę w Ameryce. Dziś tkaniny bawełniane są tak pospolite i tak tanie w naszym handlu, że nie potrafilibyśmy się bez nich obejść, chociaż bawełna u nas nie rośnie i musi być z zagranicy sprowadzana.

W czasach starożytnych tkactwem zajmowały się wyłącznie kobiety, tak samo, jak przedziwem. Przemysłna i skrzętna gospodyni umiała własną ręką sporządzić ubiory dla męża i całej rodziny. Sama przędła wełnę lub len na kądzieli, sama potem na jakimś ręcznym warsztacie wyrobiła z tych nici tkaniny i nareszcie wykończyła z tego stosownie dla każdego ubranie. Znane jest zapewne starszym czytelnikom podanie o Penelopie, małżonce słynnego bohatera Ulisesa. Ulises ten wybrał się w daleką podróż morską i nie powracał, wszyscy więc sądzili, że zginął. Krewni Penelopy namawiali ją, aby powtórnie wyszła za mąż, lecz ona zgodziła się na to nie chciała, a gdy jej dokuczano, przyrzekła w końcu wybrać sobie męża po ukończeniu tkaniny, którą miała na warsztacie. Użyła tedy podstępu, aby krewnych i przyjaciół oszukać, co utkała przez dzień, to w nocy zawsze zepsuła i zaczynała na nowo, tak, że robota nigdy się skończyć nie mogła. Tym sposobem doczekała się powrotu Ulisesa.

I w czasach późniejszych, w Europie, przez czas długi tkaniny wełniane i lniane wyrabiały kobiety na potrzeby domowe. Opowiadają kronikarze, że cesarz Karol Wielki, który żył w VIII wieku ery naszej, nosił zazwyczaj ubranie, ręką małżonki swój utkane i uszyte. Przy pałacu jego były zabudowania osobne, gdzie mnóstwo kobiet pod okiem małżonki cesarskiej przędło i tkało drogocenne szaty; jedwab zaś był jeszcze wówczas taką kosztownością, że używano go tylko na ozdoby i bramowania.

Wkrótce jednak przemysł tkacki rozwijać się zaczął na większą skalę i już w XIII i XIV wieku w Niderlandach doszedł do takiej doskonałości, że płótna holenderskie zasłynęły w całej Europie, a i do dziś dnia tej sławy nie straciły. Zaczęto ulepszać warsztaty tkackie, wymyślać różne dowcipne sposoby, aby pracę rąk ludzkich zastąpić mechanizmem; naj-

więcej się w tych wynalazkach odznaczyli Anglicy i Francuzi. Trzeba też było jednocześnie obmyślać i przedziałnie mechaniczne, bo prądki nie nastarczyłyby nigdy tyle nici, ile te przyrządy spożytkować mogą. Dziś już nawet parowe maszyny przędą i tkają z szybkością niesłychaną, bo ileż to potrzeba przeróżnych tkanin, jedwabnych, wełnianych, lnianych, bawełnianych, aby dostarczyć ubrania wrzystkim ludziom cywilizowanym i zaspokoić inne rozmaite ich potrzeby.

Oprócz lnu i konopi, jest jeszcze niemało włókien roślinnych, używanych w tkactwie. W ostatnich czasach rozpowszechnił się wszędzie na pokrycie sprzętów materiały, zwany jutą. Tkanina ta wyrabia się z łyka pewnego drzewa, które rośnie w Indyach, lecz uprawiane jest także w Ameryce zwrotnikowej i różnych koloniach. Wiadomo, że i nasza krajowa lipa ma łyko włókniste, giętkie, wyrabiają też z niego powrozy i różne plecionki. Drzewo jutowe blisko jest z lipą spokrewnione, zaliczają je do tej samej rodziny, nazwa jego naukowa jest *Corchorus*.

Niedawno znów pewien przemysłowiec francuzki wynalazł sposób przedzenia puchu i zaczął już wyrabiać z tego materiału tkaniny nadzwyczaj ciepłe i lekkie. Puchowe te nici dają się farbować tak samo, jak i bawełna. Nowość ta jednak nie ukazała się jeszcze w naszym handlu.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki**.

(Dalszy ciąg).

— Nie umiesz pracować, Tereniu — rzekł po chwili milczenia p. Kazimierz — ale powiedz, czego nie umiesz?

— Nie umiem nic z tego, co umie Hania — odrzekła smutnie — i widzę, że zamiast pomocną, będę wam tylko ciężarem.

— Cóż więc myślisz, kochanie, powiedz, na jakim polu chciałabyś i umiała pracować? — mówił p. Kazimierz, siadając na krześle przy oknie — bo przecie nie tylko igłą pracować można. Pomyśl więc, jeszcze nie wszystko stracone, jesteś młodą i rozumną dziewczyną, wybierz więc rodzaj pracy, która mogłaby ci zapewnić byt i przyszłość.

Terenia spuściła głowę na piersi i milczała, a łyzy cicho sływały po bladej jej twarzyczce.

Pan Kazimierz ujął jej rękę i posadził na krześle.

— Może chciałabyś być nauczycielką? — zapytał.

— O, mój wujciu, choćbym tego pragnęła, to jestem zbyt mało wykształconą, i... nie umiałabym dobrze uczyć dzieci — odpowiedziała z żalem.

— Mogłabyś kształcić się w tym kierunku chociaż rok jeszcze, a zdaje mi się, że byłoby to dostateczne dla ciebie.

— Kształcić się? — zapytała z goryczą, choć w pierwszej chwili oczy jej zajaśniały radością — ale jakim sposobem? Gdyby to było możliwe...

— Możliwy — mówił p. Kazimierz powoli, patrząc bacznie na obie siostrzenice — możnaby napisać do pani Z. a z chęcią przyjąłaby cię do siebie, abyś pobierała jeszcze lekcye z Lenką. Napisałabym...

— Wujciu! — wykrzyknęła Hanka z rumieńcem na twarzy — czyż zeszedliśmy już tak nisko, aby żebrać jałmużny?

Prosić o przytułek, o chleba kawałek, o wujciu, jak możesz mówić podobnie?

— Pomoc taka, Hanka, nie nazywa się jałmużną, nie ubliża tym, którzy ją przyjmują — rzekł p. Kazimierz poważnie, chociaż w spojrzeniu, jakie rzucił na szlachetną dziewczynę, było wiele radości i dumy.

— Więc niech Terenia sama o tém stanowi — rzekła Hanka, zabierając się do przerwanej chwilowo roboty — znam ją dobrze i wiem, że z tej propozycji korzystać nie będzie.

— Tak, wujciu, ja o to prosić nie będę — rzekła Terenia z mocą — wiem dobrze, jacy to zacni, jacy szlachetni ludzie, wiem, że uczyniliby to z radością, wiem, że Lenka byłaby tém uszczęśliwiona, ale ja z dobrodziejstw ich korzystać nie mogę. Czułabym się bardzo upokorzona, wiedząc, jak tu wszyscy pracujecie ciężko, gdybym miała w wygodach i spokoju oddawać się ulubionemu zajęciu. Czynem tym zaparłabym się was, kochani moi, a ja wszystko chcę mieć z wami wspólne.

Hanka uściśnęła siostrę w milczeniu, a łyzy błysnęły w ciemnych jej oczach.

Pan Kazimierz podniósł się z krzesła i zaczął chodzić koło stołu z chmurą zamyślenia na czole. Po chwili stanął przy dziewczętach i zwracając się do Tereni, zapytał:

— Więc cóż umyśliłaś, Tereniu? widzę, że pracować chcesz, a zatem podaj mi plan jakiej pracy, a może będę mógł pomódz ci do urzeczywistnienia twych zamiarów.

— Ja mam pewien zamiar — rzekła nieśmiało Terenia — ale nie wiem, czy byłoby to możliwe.

— Cóż takiego? mów proszę — nalegał p. Kazimierz.

— Pragnęłabym dostać się na jaką pensyę, jako korepetytorka w niższych klasach, za stół i stancyę, byle reszta godzin w dniu należała do mnie, musiałabym bowiem i sama się kształcić, i zapracować coś jeszcze dla mateńki i młodszego rodzeństwa. A potem...

— Cóż potem, Tereniu? — zapytał p. Kazimierz.

— Zostałabym dopiero nauczycielką — odpowiedziała cicho.

— Więc masz powołanie do tego stanu? — zapytał pan Kazimierz.

— Tak jak i do igły — mruknęła niechętnie Hanka.

— Jak widzę, Hanka jest przeciwną twoim zamiarom, Tereniu — rzekł wujaszek, z niedostrzeżonym prawie uśmiechem na ustach. — I cóż masz przeciw temu?

— To mam, wujaszku, że lepiej stokroć być byle jaką szwaczką, niż byle jaką nauczycielką — odpowiedziała Hanka z uniesieniem — Terenia jest marzycielką, egzaltowaną, rozpierzconą, dla Tereni świat rzeczywisty jakby nie istniał wcale...

— O Boże! — przerwała ten potok słów blada ze wzruszenia Terenia — więc podług ciebie, Haniu, do niezego zdolną nie jestem? Ach, więc to prawda, co mówiłam, że tylko ciężarem wam będę.

Hanka zmieszła się, spojrzawszy na bladą twarz siostry, i rzekła łagodnym głosem:

— Tereniu moja, nie miej do mnie żalu, chciałabym wszystko wziąć na swe barki, chciałabym każde cierpienie usunąć przed tobą, a zawód nauczycielski tyle mieści w sobie przykrości, rozczarowań i bólu, że nie wiem, czybys temu podolać mogła. Dla tego to nie radabym cię widzieć nauczycielką.

— Czemże więc będę? — zapytała ze zniechęceniem w głosie.

Hanka spojrziała na wuja pytająco, ale ten patrzył w okno i milczał, jakby nie słuchał, co przy nim mówiono, i jakby nie należał do poprzedniej rozmowy. Na twarzy jego widać znów było obojętność i spokój, ani śladu poprzedniego smutku i zamyślenia, ani śladu cierpienia, o którym przed chwilą świadczyła ściągnięta brew ciemna. Ten wujaszek był zawsze dla Hanki jakąś dziwną zagadką, a chociaż miała do niego głębokie przywiązanie i ufność bez granic, nie mogła tego

powiedzieć, że go znała, bo mienił się przed jej oczami w sposób wcale nieprzewidziany.

I teraz zamyślony był bardzo, bardzo głęboko, ale pogodą jaśniała twarz jego. Czy widział może w przyszłości lepszą dolę ich wszystkich, i uśmiechał się do niej w duszy. Hanka wzruszyła nieznacznie ramionami i zacisnęła usta.

— Wujciu — szepnęła Terenia — czy mi nie poradzisz?

Pan Kazimierz szybko odwrócił głowę i spojrzał ze zdziwieniem niemal na dziewczę, a w tej chwili na twarzy jego znów pojawił się smutek, wzięwszy Terenię za rękę, zaczął mówić wolno i poważnie:

— Nauczycielstwo, Tereniu, to kapłaństwo, bez powołania prawdziwego przystępować nam do niego nie wolno. Trzeba umiłować głęboko ten zawód, trzeba mu poświęcić wiele, bardzo wiele, bo trzeba zaprzeczyć się siebie, aby praca nasza wydała pożądane owoce. Taka młodzianka nauczycielka, dziewczeczko, musi być baczna na siebie w każdej chwili, bo ona ma uczyć nie tylko słowem, ale przykładem własnym ważnych prawd życia, których książka nie nauczy. W zawodzie tym nie wolno się zniechęcać, ani brakiem zdolności uczennicy, ani jej lenistwem i opieszałością w pracy, ani wszystkimi wadami zepsutego nieraz zbyt czułym pieczętomu dziecku, bo w takim razie możnaby się potknąć na pierwszym niemal kroku. O! zawód to piękny, podniosły i wielki, ale wtenczas tylko, gdy jest tak zrozumiany i pojęty. Dla tego, Tereniu droga, postanowienia takiego nie robi się w chwili, gdy na chleb zapracować potrzebujemy. Połóż rękę na sercu i zapytaj, co ono ci powie, zajrzyj w nie głęboko, czy znajdziesz tam tyle miłości i zaparcia, ile do tego stanu potrzeba, a wtedy ja ci pomogę do spełnienia twego zamiaru. Ale jeżeli nie masz prawdziwego powołania, to ja do twego męczeństwa nie przyłożę ręki, bo widzę oczami duszy, jak dzień każdy znaczący łzami zniechęcenia, utratą wiary w swe siły, zwątpieniem, a z pracy twój nie byłoby pożytku. Ja, Tereniu, schylał czoło przed każdym pracującym w tym zawodzie, jeżeli rozumiał posłannictwo swoje, bo raz ci jeszcze powtarzam: nauczycielstwo, to apostołstwo, to kapłaństwo!

— Ach, przerażasz mnie, wujciu — zawołała Terenia — ale zarazem jeszcze większą budzisz chęć do spełnienia mego postanowienia. To moje dawne marzenie, z którym tałam się przed Hanią nawet, o, ona tak zawsze przeciwną była temu.

— Bo tak te rzeczy pojmuję, jak wujaszek — odrzekła Hanka — a kocham cię bardzo, więc pragnęłabym dla ciebie lżejszej trochę doli.

— Ty widziałas, Haniu, jak pragnęłam pracować na równi z tobą — odpowiedziała — ale przy tej właśnie pracy zamęczyłabym się, najdroższa, a nie byłabym wam pomocną. Bóg widzi, jak gorąco modliłam się o wytrwałność, o siłę, a z dniem każdym czułam się więcej zniechęconą.

— Co mateczka na to powie? — rzekła Hanka, spoglądając ze smutkiem na siostrę, bo myśl rozłąki bolesną jej była, a widziała, że nastąpić to musi.

— Wujcio przemówi za mną do mateczki — rzekła Terenia z ożywieniem — a i ja pójdę, uklękę u jej kolan, i wypowiem wszystkie udęczenia mego biednego serca.

— Będzie więc, jak chcesz — rzekł p. Kazimierz — jutro zaraz biorę kij w rękę i idę do Warszawy, a może starania moje odniosą pożądany skutek.

Terenia rękę wuja do ust przycisnęła, on złożył pocałunek na jej czole, i szybko wyszedł z pokoju.

Na drugi dzień, ledwie słońce wychyliło się z poza blizkiego lasu, gdy Hanka krzątała się już około małego gospodarstwa. Twarz dziewczęcia, nacechowana głębokim smutkiem, była bledszą niż zwykle, a przy zajęciu swem stała co chwila w zamyśleniu, z którego otrząsała się siłą woli, ile razy jedyna dziś służąca zapytywała jej o coś tyczącego gospodarstwa.

Załatwiwszy w kuchni wszystko, co było potrzeba, zanim matka i babunia wstaną, Hanka wyszła przed dom, a siadła na schodkach frontowej sieni, spojrzała na dawną siedzibę, którą było widać jak na dłoni. Obaczyła, że w maleńkim podwórku panował już ruch dziwny, z obory wypędzano ich krówki, ulubione krówki Hanka, któremi tak się cieszyła, bo z nich to miała ciągnąć owe olbrzymie dochody, wymarzone w Warszawie przez dwa lata. W oczach dziewczyny łzy zadrżały pod powiekami, załamała ręce i przycisnęła je do czoła. Bydełko rycząc wesoło śpieszyło na pole, nie czuło tego, jaki żal szarpał sercem biednej dziewczyny. Tera z kurników wysypała się rzesza skrzydłata z głośnym krzykiem i świegotem, wszystkie czubate kurki, faworytki wypieszczone Ewci, strzepywały skrzydełka ze snu nocnego, rozbiegając się swoim zwyczajem po wszystkich kącikach i krzaczkach.

Ale cóż to za gromadka ludzi zbiera się na podwórku, przyglądając się budynkom? Obchodzą je w koło, patrzą, rozmawiają coś gestykulując rękami, nareszcie zrzucają z siebie kapoty i zabierają się do pracy. Hance bije czegoś serce niespokojnie, patrzy z wytężeniem, a po chwili okrzyk przeżalenia czy żalu wyrwa się z jej piersi. Oczom swym wierzyć nie chce prawie, a jednak to prawda, ci ludzie siekierami rozwalają pierwszy z brzegu budynek, zdzierają dach słomiany, i serce im nie pęka przy tej barbarzyńskiej czynności! Hanka przysłoniła oczy, ale słyszy każde uderzenie siekiery, które głuchem echem odbija się w jej duszy. Ach! więc już i śladu nie pozostanie z ich kącika ukochanego, w którym tak szczęśliwie, cicho, upływało im życie. Jeszcze i ta boleść, myśli dziewczę, tłumiac ciche łkanie, więc patrzeć trzeba, jak burzą to, co ona kochała prawie od dziecka. Wstrząsnęła się, a wstając ze schodków, rzekła z mocą do siebie:

— Będę się roztkliwiać nad tym, co nie wróci? zburzone szczęście nasze, niechże zburzą i te budynki.

Otworzyła oczy śpiesznie, i spojrzała na dworek maleńki, którego okienka błyszczały w promieniach słonecznych. Na ganku stanęło w tej chwili dwóch mężczyzn, czy ją wzrok mylił jeden z nich to wuj Kazimierz, a ten drugi, to nowy nabywca ich posiadłości, który w postawie pełnej uszanowania słuca, jak wuj Kazimierz mówi coś, wskazując ręką w stronę pracujących ludzi. Hanka ze zdumieniem przygląda się temu, i myśli jej pracuje nad tym, co znaczą te ranne odwiedziny wujaszka w dawnym ich dworku? Nareszcie wujaszek uchylił nieco kapelusza, przyjaznym skinieniem pożegnał gospodarza i śpiesznie szedł w stronę czerwonego domu. Hanka nie ruszyła się z miejsca i p. Kazimierz, zbliżywszy się, zobaczył, jak z ciekawością i niepokojem spoglądała na niego. Uśmiechnął się do niej swobodnie i rzekł dosyć wesoło:

— Dzień dobry ci, Hanko, zawsze najpierwsza na nogach, dzielna z ciebie dziewczyna. Ale i ja wstałem rano, idę dziś do Warszawy, jak wiesz, w interesie naszej Tereni, trzeba się śpieszyć, aby zająć przed upałem. Ale co tak patrzysz na mnie ciekawie? radabyś pewnie wiedzieć, co robiłem tak rano w dawnym dworku naszym? Oj, kobiety, zawsze muszą być ciekawe. Otóż widzisz, kochanko, nowy właściciel prosił mnie wczoraj jeszcze, abym mu poradził w kwestyi stawiania nowych budynków. Odmawiać nie wypada, bo jak wiesz, mimo pozorniej surowości, jest to człowiek dobry w gruncie, porobił nam niektóre ustępstwa, a że się o swoje upomniał, ha, to trudno, należało mu się słusznie.

— Czy i stary dworek rozwalą? — zapytała.

— Prawdopodobnie — odpowiedział p. Kazimierz. — Ale daj mi, Haniu, przejeść cokolwiek, muszę śpieszyć w drogę, bo czas mi już wielki.

W pół godziny potem p. Kazimierz szedł do Warszawy, pożegnawszy sardecznie posługującą mu Hankę.

Gdy Terenia weszła do pokoju, wujaszka już nie zastała. Dziewczyna zasmuciła się, że nie pożegnała tego dobrego, niezmordowanego wujaszka, gdy szło o spełnienie jej życzeń. Ale po dniu wczorajszym, długo zasnąć nie mogła i dziś za-

Rzeka Pilkomayo.

spala trochę, a Hania ani pomyślała, aby budzić biedaczkę do pracy. Niech śpi, mówiła sobie sprząając pokój, w którym pracowały, bo służąca czynić tego nie miała czasu, we śnie zapomni o troskach i cierpieniu, ona taka delikatna i wåtła. I na tę myśl pośpieszała z uprząaniem, aby dla Tereni, gdy wstanie, nie zostało dużo roboty.

(d. c. n.)

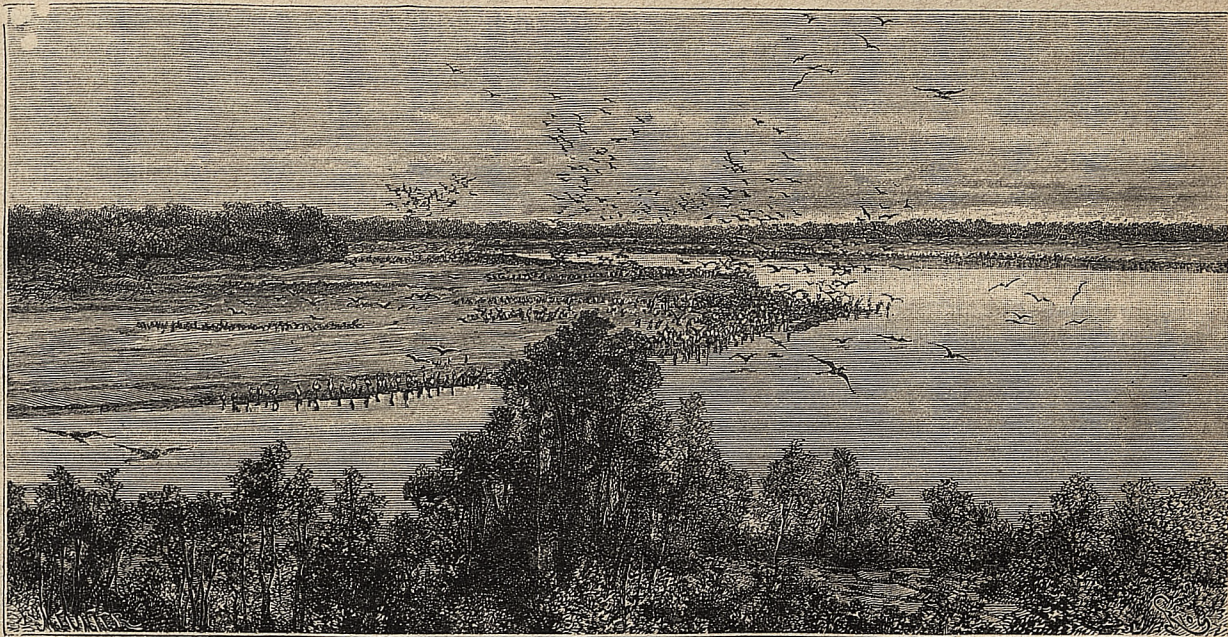
MODLITWA.

W szczęściu jestem szczęściem samém,
W nocie, wytrwania potęgą,
W cierpieniu pociech balsamem,
W grzechu, poprawy przysięgą.

* * *

Chociaż Ameryka daleko lepiej jest znana od Afryki, są tam jednak, w południowej zwłaszcza, znaczne obszary, nie zbadane jeszcze dokładnie. W tych puszczech, gdzie dróg żadnych niema, trudno podróżować łądem, lecz za to liczne rzeki przerzynają je w różnych kierunkach, najdogodniej więc jest płynąć wodą. Wszędzie też krajowcy, równie jak osadnicy, zamieszkali w tych stronach, budują wyborne lekkie czółna i zrzecnie niemi kierują.

W r. 1882 podróżnik francuzki dr. Crevaux przybył do Ameryki w celach naukowych. Miał on zamiar zbadać małe znany bieg rzeki Pilkomayo w Boliwii, wybrał też do tego najprostszą i najdogodniejszą drogę, dotarłszy do wybrzeży tej rzeki, wsiadł wraz z towarzyszymi na łódzie i wodą popłynął dalej.



Rzeka Pilkomayo.

Bóg się w swém istnieniu błogiém
Nie modli, bo w żadném niebie
Nie ma wyższego nad siebie,
I dlatego też jest Bogiem.

* * *

Anioł z pochyloném czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może,
I dlatego jest aniołem.

* * *

Człowiek z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień lub radości kole,
Modli się gdy chce, ma wolę,
I dlatego jest człowiekiem.

* * *

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale coś mu jest nieznaném :
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dlatego jest szatanem.

Na nieszczęście w tymże samym czasie biali osadnicy tamtejsi urządzili wyprawę przeciw Indyanom, którzy napadali i rabowali ich posiadłości. Stoczyli bitwę z dzikimi, zabili kilku, i zabrali w niewolę kilkanaście kobiet i dzieci. Przestrzegano też po drodze podróżnika francuzkiego, aby w tej porze nie zapuszczał się w głąb posiadłości dzikich, gdyż mogą mścić się na nim za krzywdy, doznane od ludzi białych.

Dr. Crevaux nie zważał na to, ufał w swoją niewinność, uprosił nawet owych osadników, aby mu pozwolili odprowadzić rodzicom młodą dziewczynę, wziętą w niewolę, sądził, iż tym sposobem pozyska sobie ich przychyłność. Niestety! na nie się to nie przydało. Dzićy z początku nie okazywali mu żadnej niechęci, a podróżnik, uspokojony zupełnie, płynął coraz dalej i wylądował w końcu na wybrzeże w miejscu, które przedstawia nasza rycina. Lecz tu gromada dzikich rzuciła się z nienacka na podróżników i prawie wszystkich wymordowała. Dwóch tylko krajowców wioślarzy zdołało umknąć do łodzi i szybko odpłynąć. Tak więc nieszczęśliwy dr. Crevaux padł ofiarą zemsty za nie swoje winy.

ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dalszy ciąg).

Na znak jego, majtkowie przestali wiosłować, czółno dzikich podплыnęło zwolna, lecz zatrzymało się w pewnej odległości, jakby niedowierzając białym. Obie panie niezmiernie były temu rade, nie miały bowiem najmniejszej ochoty zbliżyć się do tych wstrętnych istot, które aż nadto dobrze widzieć już teraz mogły. Dzieci ci wyglądali okropnie, głowy mieli ogromne, czoła niskie, włosy rozczochrane, oczki małe czerwone, usta szerokie, sięgające prawie od ucha do ucha. Jedynym strojem mężczyzn był króciutki płaszczyk futrzany, zarzucony na plecy i rzemykiem związany na piersiach. Na całym ciele mieli dziwaczne desenie żółte, białe i czarne, pomalowane farbą zrobioną z ochry, kredy i węgla, z dodatkiem oleju z fok i tłuszczu wielorybiego.

Kobiety, obrzydliwsze jeszcze, jeśli mogło być coś obrzydliwszego, ubrane były w krótkie spódniczki ze skór bezłotków. Niektóre z nich miały na plecach dzieci uwiązane skórczanami pasami. Kilka psów małych, podobnych nieco do lisów, o pyskach spiczastych i uszach podniesionych, siedziało także w czółnie. Kobiety, mężczyźni, dzieci i psy, wszystko to razem krzyczało, wrzeszczało, wyło, prawdziwie piekielny sprawiając hałas.

Na żądanie kapitana, Seagriff, który rozumiał trochę język tych krajowców, stanął na przedzie szalupy, gotując się pełnić obowiązki tłumacza. Udało mu się nakłonić wrzaskliwą gromadę do uciszenia się i rozpoczęcia interesów handlowych. Krajowcy podплыnęli bliżej i ofiarowali żeglarzom skóry wydr i otaryj, w zamian zaś przyjmowali od nich rozmaite drobne przedmioty, jako to: próżne pudełka od sardynek, klucze żelazne, starą klamerkę od szelki, parę guzików mosiężnych. Z początku nie wymagali nic więcej, zupełnie zdawali się zadowoleni, może nawet wyobrażali sobie, że chytrze bardzo postępowali z białymi ludźmi i wyprowadzili ich w pole, zabierając za nędzne skórki tyle kosztownych przedmiotów.

Gdy już skór zabrakło, podawali z kolei przyrządy swoje rybackie, a nawet i broń. Seagriff chętnie nabył dzidy i siekierki kamienne, ofiarował za nie hojną zapłatę, dwie czy trzy chustki kolorowe bawełniane.

Widok takich skarbów rozbudził chciwość dzikich do najwyższego stopnia. Kobiety szczególnie z gorączkową żywością podawały żeglarzom rozmaite przedmioty, zdejmowały nawet z siebie naszyjniki z muszli, ofiarując je za te szacowane szmatki kolorowe. Jedna z tych, które miały dzieci uwiązane na plecach, posunęła się dalej jeszcze, chwyciła na rękę to biedactwo i podała je Madzi, żądając w zamian czerwonego jój fularu. Wyciągała obie ręce, podnosząc niemoiwę i ukazując je z różnych stron, tak zupełnie, jak przekupień, gdy zachwala swój towar na jarmarku.

— Czego ta kobieta chce od nas? — zapytała pani Ganey, zdziwiona temi szczególnymi gestami.

— Chce zamienić swego malca za chusteczkę panienki — odrzekł Seagriff spokojnie, jakby mówił o rzeczy najprostszej w świecie.

— O! cóż to za potwór!... — zawołały obie panie przestraszone — ależ to niepodobna, panie Seagriffie, pan sobie z nas żartuje.

— Wcale nie — odparł stary cieśla — na nieszczęście czysta to jest prawda, nie pierwszy raz jestem świadkiem podobnego targu. To są matki wyrodne, w każdej chwili gotowe oddać dziecko za strzępek kolorowy lub marną wstążeczkę...

To zdarzenie taki wstręt wzbudziło we wszystkich, że nikt nie miał ochoty czynić dalszych zakupów u dzikich, kapitan dał znak wiosłarzom, i łodzie puściły się w dalszą drogę.

Gdy spostrzegła to owa matka wyrodna, położyła śpięsznie dziecko na dnie swojego czółna, sama zaś wychyliła się z niego i wyciągając rękę, usiłowała zerwać pięśny fular, przedmiot swego pożądania, z szyi Madzi. Już dotykała go palcami, gdy nagle krzyknęła; Henryk Chester śledził jej poruszenia i uderzył ją po palcach swoim wiosłem.

Jęzda krzyczała w niebogłose, towarzysze jój zawtórowali straszniemi, nieludzkiemi wrzaskami, zaczęli wygrażać pięściami i wiosłami. Na szczęście wściekłość ich była bezsilna, gdyż przezorny Seagriff zakupił wszystką broń, którą mieli przy sobie. Żeglarze nasi wiosłowali z całej siły i wkrótce odплыnęli o tyle, że nie potrzebowali obawiać się pogoni.

— Dzięki Bogu! — zawołał Seagriff i odetchnął głęboko — dzięki Bogu, żeśmy się wyrwali z ich szponów, zanim przyszło do otwartej walki. Gdybyśmy byli zmuszeni do nich strzelić raz tylko, ściągnęlibyśmy sobie na kark całą chmarę tej hołoty.

— A wielki miałeś rozum, przyjacielu — rzekł kapitan — żeś zakupił cały ich rynsztunek; należy ci się za to wdzięczność niemająca, nie bylibyśmy się tak łatwo wykręcili, żeby mieli w rękach swoje proce i siekierki.

— Co! — wołał Henryk Chester, cały wzburzony jeszcze na wspomnienie tej chwili, gdy straszna jęzda czarną swoją łapą chciała dotknąć Madzi — mielibyśmy się obawiać tych bydląt? Cóżby oni mogli nam zrobić? Czyż nie jesteśmy daleko lepiej od nich uzbrojeni?

— Prawda, panie Henryku — odezwał się Seagriff, — ale najlepsza broń na nic się nie przyda, gdy człowiek dostanie w łeb kamieniem, wyrzuconym z procy. Każda czaszka musi się roztrzaskać pod takim ciosem. A ci hultaje na nic nie zważają, gdy są rozwścieczeni; rzuciliby się na nas, choćby ich było trzech tylko przeciw stu i probowaliby kasać. To są prawdziwe dzikie bestye. Widziałem raz, jak krajowiec z Ziemi Ognistej, mały, chudy, niepozorny, sam jeden skakał do oczu całej załodze okrętu wielorybniczego, która przecież dobrze była uzbrojona. A zręczni są przytém, jak małpy. Każdy wyrzuci kamień z procy o sto metrów odległości tak celnie, jak najlepszy strzelec kulkę ze strzelby. Kobiety nie ustępują w tém wcale mężczyznom. Ja przecież nie jestem tchórzem, a daję słowo, wołałbym mieć do czynienia z trzema europejczykami, niżeli z jedną taką czarnownicą z Ziemi Ognistej. Nie dałbym złamanego szeląga za swoją skórę, gdyby się dostała w takie ręce!...

Wszyscy zaczęli się śmiać ze starego Seagriffa, ale on nie śmiał się wcale i spoglądał uważnie w stronę, gdzie pozostawili czółno dzikich.

— A co! — rzekł wreszcie — przeczuwałem to!..

— Cóż takiego? — zapytał kapitan.

— Rozpalili ogień, dają znaki swoim kamratom, nic więcej. A tamci hultaje, byle tylko dym zobaczyli... No, no, takie to już ich psie zwyczaje...

W rzeczy samej widać było cienki słup dymu, wznoszący się z czółna krajowców; dym to był biały, szczególny, musiał pochodzić z jakiegoś niezwykłego paliwa, niezwykłym sposobem roznieconego. Nie upłynęło i pięć minut, gdy na wybrzeżu łądu ukazał się drugi znak podobny.

— Otóż mamy i odpowiedź!.. — rzekł Seagriff — i niejedną... raz, dwa, trzy... — liczył zwolna, wskazując słupy dymu, które się podnosiły jeden po drugim z różnych punktów wybrzeża; były to widocznie znaki umówione. Zrazu ukazywały się w stronie północnej, po jednej stronie cieśniny, lecz wnet pojawiły się także i po drugiej stronie południa.

— Niedobra sprawa — szepnął stary cieśla na ucho kapitanowi — jesteśmy wzięci we dwa ognie, ta łotrowska zgraja niezawodnie pogoń urządzi... niełatwo nam będzie wymknąć. Ta wyspa na lewo, to wyspa Pożaru, a ta dru-

na prawo wysepka Katarzyny. Obie są zamieszkałe przez też samo plemię Elikolepów. Żeby nam się udało wydostać przynajmniej z tych wód i wpłynąć do cieśniny, nim nas dogonią, możebyśmy umknęli przed nimi...

Kapitan patrzył ciągle przez lunetę.

— Odwiązują czółna — mówił, zdając sprawę towarzyszom ze wszystkiego, co widział — od każdego punktu, gdzie wznosił się słup dymu, odpływa czółno... a jest ich mnóstwo... dwa, pięć, siedm, jedenaście, piętnaście, siedmnaście czółen... jeszcze dwa... jeszcze jedno... razem dwadzieścia. Płyną wszystkie ku wązkiej cieśninie, wyprzedzają nas niezawodnie, z obu stron zagrodzą nam drogę, płyną rzędem jedno za drugim, utworzą kąt wydłużony, gdy się spotkają...

— Czy nie lepiej byłoby zawrócić jaknajprędzej? zapytała pani Ganey w najwyższej trwodze.

— Na nieby się to nie przydało — odrzekł kapitan — inne czółna odbijają od brzegów za nami, te nam zagradzają odwrót.

— Czy są przynajmniej kobiety z dziećmi na tych czółnach? — zapytał Seagriff.

— Nie widzę ani jednej — mówił kapitan.

— To źle!... Wojna więc, wojna zawzięta!..

Dwie linie czółen wyciągały się w rzeczy samej w kształcie trójkąta z dwóch stron przeciwnych, usiłując zamknąć drogę do cieśniny przed naszymi żeglarzami. Widać już było doskonale dziwaczne białe desenie, pomalowane kredą na czarnych cielskach; był to rysunek wojenny, wykonany na przedce, dzieci mają osobne malowidła, gdy idą na wojnę. Wszyscy mieli głowy przystrojone w pióra, a ponad głowami ich wznosił się las włóczni, każdy wojownik trzymał oprócz tego w ręku procę i kamienie w pogotowiu. Co raz wyraźniej ukazywały się oczom naszych żeglarzy straszliwe twarze napastników, coraz głośniej odzywały się przeraźliwe ich wrzaski, jak stado ptaków drapieżnych okrąża dookoła upatrzone ofiary, tak gromada tych dzikich istot napaadała nieszczęsnych rozbitków z dwóch stron jednocześnie i ogłuszyć ich chciała piekielnym hałasem.

X

K a t a s t r o f a .

Dzicy, usadowieni w licznych czółnach, które dwoma rzędami nadpływały z prawej i lewej strony, najwidoczniej zmierzali do tego, aby zagrodzić drogę naszym żeglarzom, ustawiając się przed nimi w kształcie litery V, zanim zdążą dopłynąć do kanału. Ci znów ze swojej strony nadludzkie czynili usiłowania, aby ten manewr w niwecz obrócić. Mała jednak była nadzieja powodzenia.

Najłżejsza zmiana wiatru, chybione uderzenie wiosła, lub inna prze szkoda podobna, mogła ich powstrzymać na jedną chwilę i dać przewagę nieprzyjaciółom, a wówczas nieby ich nie obroniło od śmierci lub niewoli, stokroć gorszej jeszcze od śmierci. Kapitan Ganey drżał na samą myśl strasznego losu, groźącego najdroższym mu istotom, znać było ten niepokój w krótkich, urywanych słowach, któremi zagrzewał wiosłarzy do pospiechu.

— Śmiało, dzieci!... — wołał raz po raz — wyprzedzimy ich, zobaczycie!... nie ustawajcie tylko, nie traćcie odwagi!... wiosłujcie żwawo, całą siłą!...

A słowa te nie chybiały celu, szalupa i łódka jak lotne ptaki unosiły się na falach, wiosłarze prawdziwych cudów dokazywali, a czółna dzikich, goniące za nimi, coraz wyraźniej pozostawały w tyle. Lecz te, które z boków nadpływały, zbliżały się szybko, a dzicy ustawili się zawczasu w groźnej postawie, podnosząc włócznie do góry i wymachując procami. Preraźliwe ich wrzaski, ruchy gwałtowne, twarze trupie, kredą zamazane, straszliwy, piekielny przedstawiały widok.

Jeden z nich cisnął dziurę, inny kamień wypuścił z procy,

jakby chcieli odległość zmierzyć. Ani dziurę ani kamień nie dosięgnął celu, oddalenie było jeszcze zbyt wielkie, lecz każdy zrozumiał, że za parę minut niebezpieczeństwo stanie się nieuniknionem. Henryk Chester, który dowodził łodzią i wyprzedzał szalupę, postanowił uczynić krok stanowczy; rozkazał majtkom wziąć broń na ramię i dać ognia ze wszystkich rusznic.

Trzech dzikich padło, żaden jednak nie otrzymał śmiertelnego ciosu, byli tylko ranieni mniej lub więcej ciężko. Śmiały ten atak, zamiast ich przerazić, pobudził jeszcze więcej do walki. Grad dziurów i kamieni spadł teraz na naszych Yankesów, raniąc dwóch majtków na łodzi i jednego na szalupie.

Tymczasem zbliżano się szybko do kanału, łódka Henryka miała go dosięgnąć za chwilę, gdy nagle duże czółno, największe ze wszystkich, podpłynęło i zagrodziło mu drogę. Walka na śmierć i życie stawała się nieuniknioną, trzeba było przemocą usunąć tę przeszkodę.

Łódź zręcznym manewrem cofnęła się i zatrzymała tuż przy szalupie, tak że prawie brzeg z brzegiem się stykał, Kapitan kazał żonie i córce położyć się na dnie statku, potem obaj z Henrykiem porozumieli się w kilku słowach, postanowili rzucić się odważnie na czółno nieprzyjacielskie, przewrócić je, a tym sposobem rozbroić dzikich. Złożono więc broń na dno szalupy i łodzi, a następnie wykonano z wielką zręcznością ten śmiały manewr wojenny. Dzicy nie zrozumieli wcale zamiarów białych ludzi i nie przedsięwzięli żadnych środków ostrożności. Widząc, że oba statki szybko się do nich zbliżają, stanęli w postawie wyczekującej, gotując się do zaciętej walki i chcąc dopiero w ostatniej chwili użyć broni.

Ani się spostrzegli, gdy łódź i szalupa uderzyły gwałtownie o brzeg ich czółna i tak niemię zakolysały, że wszyscy dzicy stracili równowagę, a kilku wpadło do wody. Drugie uderzenie nastąpiło niezwłocznie i było skuteczniejsze, czółno przewróciło się dnem do góry, cała załoga skapała się w morzu, żaden z dzikich nie mógł myśleć o walce, wszyscy musieli się ratować od utonięcia. Dwóch tylko najzawziętszych uczepliło się brzegu szalupy, lecz z łatwością ich odpedzono wiosłami. Dali więc za wygraną, tém bardziej, że i broń pogubili w wodzie, zaniechali dalszej napaści i wpływ puścili się ku wybrzeżom. Nie było niebezpieczeństwa, aby potonęli, wszyscy pływali, jak ryby.

Żeglarze odetchnęli, mieli drogę wolną przed sobą i nie tracąc ani chwili czasu poczęli z całych sił wiosłować, osiągnęli też cel swoich usiłowań, dopłynęli do wązkiej cieśniny, zanim czółna, z obu stron nadpływające, zdążyły się połączyć. Teraz położenie było daleko mniej groźne, gdyż nieprzyjaciel pozostał w tyle, szło tylko o to, aby się nie dać dogonić. Opatrzność sprzyjała widocznie naszym rozbitkom, gdy dostali się do cieśniny, spostrzegli z nieopisaną radością, że zrywał się wiatr pomyślny, który wzdymał ich żagle i chyżo pędził naprzód oba statki. Coraz to większa przestrzeń dzieliła ich od dzikich napastników, czółna malały im w oczach, wkrótce wyglądały już tylko, jak gromadka ptaków, pływających na falach, potem jak szereg drobnych punkcików i w końcu znikły zupełnie w oddaleniu.

Łatwo sobie wyobrazić, z jaką czułością, z jakim uniesieniem radości kapitan Ganey przycisnął do serca żonę i córkę, gdy przeminęło wreszcie to straszne niebezpieczeństwo. Wszyscy byli uszczęśliwieni, majtkowie podnieśli okrzyk tryumfu, a w rzeczy samej można było sobie powinnować tak pomyślnego zakończenia tej przygody. Rany poniesione przez kilku ludzi z załogi nie były wcale niebezpieczne, opatrzone je starannie i wyruszono w dalszą drogę.

Chociaż trudno było przypuszczać, ażeby dzicy chcieli przedłużać pogoń nadaremna, jednakże kapitan Ganey postanowił oddalić się o ile możności od tych miejsc i nie pozwolił wiosłarzom spocząć ani na jedną chwilę, tém bardziej, że należało korzystać z pomyślnego wiatru.

Noc zapadła i nowy niepokój przyniosła naszym rozbitkom, ujrzeli bowiem po obu stronach cieśniny wielkie ognie

pozapalane na wybrzeżach. Były to niewątpliwie hasła trwogi. Podróżnik Magellan już przed trzema wiekami opisywał, że krajowcy tych wybrzeży mają zwyczaj porozumiewać się pomiędzy sobą, zapalając w nocy ognie nad morzem lub na szczytach gór. Prawdopodobnie też dlatego nadał on téj krainie nazwę Ziemi Ognistej.

W każdym razie ponure te płomienie były dla naszych rozbitków złowrogim znakiem, świadczyły bowiem, iż dżicy nie przestali czyhać na ich zgubę i nie opuszczą sposobności nasycenia straszliwej nienawiści, którą palają dla białych ludzi, nie bez powodu, ze smutkiem wyznać to trzeba. Nie raz bowiem europejczycy, chrześcijanie, prawdziwie po barbarzyńsku się obchodzą z temi nieszczęśliwemi istotami, najgorsze im dając wyobrażenie o całym swoim rodzie.

(d. c. n).

ROZMAITOŚCI.

Błędy języka. W liścikach waszych, kochani czytelnicy, powtarza się dość często pewien błąd, na który chcemy dziś zwrócić waszą uwagę. Oto zdarza się naprzykład, że ktoś zapytuje o cenę jakiej książki, lub o wiek której z korespondentek i pisze; *wiele* kosztuje ta książka? *wiele* ma lat ta panienska? Tymczasem ten wyraz *wiele*, znaczy to samo, co *dużo*, a nikt przecież nie pyta: *dużo* to kosztuje? *dużo* masz lat? Lecz mówi się: *ile* to kosztuje? *ile* masz lat? Nie należy więc tych dwóch wyrazów odmiennych, *wiele* i *ile*, uważać za jedno i w jednakowém znaczeniu używać. Gdy, macie ochotę napisać lub wymówić wyraz *wiele*, a zachodzi wątpliwość, czy będzie w tém zdaniu właściwym, zadajcie sobie tylko pytanie: czy możnaby tu zamiast *wiele* powiedzieć *dużo*? Jeżeli nie można, to z pewnością i *wiele* będzie błędem, a błędów, choćby i niezbyt rażących, starannie powinniśmy unikać.

Łamigłówka kropkowana.

(Od Ex-Czapli dla Jutrzenki).

T... r... z... k... i... z... o... d... i... c... t... s... z... ..
J... n... t... p... .. r... .. n... ..
M... .. d... .. k... .. m... ż...
P... .. t... .. d... .. t... .. s... .. t... .. c... ..
C... .. r... .. d... .. p... ..
P... .. z... m... ..

Łamigłówka zgłoskowa (Róża alpejska).

Z następujących zgłosek: a—bryk—ci—czól—drzec—gar—gi—im—kło—łan—mę—no—ni—on—sy— ułożyć wyrazy: 1. Czasopismo. 2. Ziemia uprawna. 3. Wyraz oznaczający czasy dawne. 4. Człowiek niepospolitego rozumu. 5. Rzecz potrzebna do szycia. 6. Naczynie do herbaty. 7. Statek wodny. 8. Imię biblijne. Początkowe litery od góry do dołu i końcowe w kierunku odwrotnym, utworzą nazwy dwóch przestanków kolei Wiedeńskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Zadania konikowego:

Teraz oczy kręgiem słońca
Okręciłem koło siebie,
I na ziemi, i na niebie,
Już nie było za mną gońca.
Tu natura snem ujęta
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy,
Tu żywiły drzemią w ciszy,
Jak niepłoszone zwierzęta.
(ustęp z poematu „Farys” Mickiewicza).

Synonimów:

Dar — Echo — Okrąg — Tkliwość — Yukka — Miasto — Arka. — Deotyma.

Numer 6-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO, WYSZEDŁ I ZAWIERA:

1. Kilka słów o wychowaniu naszych chłopców, przez Stanisława Berżańskiego. 2. Program potrzebnych psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida (c. d.) 3. Korespondencya. Przez Ludwika Strahla. 4. Krytyka i bibliografia: a) Historia w obrazach, przez Zuzannę Zajączkowską, ocenił Edward Bogusławski. b) Przegląd literatury zagranicznej przez S. W. 5. Z prasy i książek. Konferencye pedagogiczne.

NADZIEJA.

WIĄZANKA WIERSZY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
przez ks. Antoniego Moszyńskiego.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Warsztat tkacki (z drzeworytami). — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Modlitwa (wiersz p. Deotyinę. — Rzeka Pilkomayo (z drzew.) — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Obrazy historyczne (z drzew.) — Sirotka wierszyk p. Puzyninę. — Niezgodni królewicze, bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuzkiego.

OBRAZY HISTORYCZNE.

I.

Micio chodził już do szkoły i bardzo dobrze się uczył, to też w dni powszednie mało miał czasu na zabawę. Za to w niedzielę po obiedzie wielka była radość w domu, dwie siostrzyczki Micia, Wandzia i Bronka, niecierpliwie zawsze téj niedzieli wyglądały, żeby się z ukochanym braciszkiem nabawić. Bo też Micio znakomite pomysły miewał, zawsze mu jakieś nowe koncepta przychodziły do głowy, było przy tych zabawach śmiechu niemało, czasem coprawda i płacz bywał, bo trafiały się różne przypadki, ale się to prędko zapominało.



Bitwa pod Grünwaldem.

— To dopiero! — zawołał Micio z oburzeniem — chcesz chyba, żebym ciebie zwyciężył, bo przecież nie dam się pobić. Taka to z ciebie Polka! Ona będzie Jagiełłą! Dobrze ojciec mówił, że u nas zawsze prywata wszystko niweczyła.

— Prywata? a co to takiego ta prywata?

— To znaczy — mówił z powagą Micio — że dbasz tylko o siebie, a nie o dobro ojczyzny.

— A czy to dla dobra ojczyzny potrzeba, żebym ja była mistrzem krzyżackim?

— Rozumie się, bo jak ja będę mistrzem, to Jagiełłę zwyciężę.

— Niechże Bóg broni — rzekła Bronka — jeżeli tak, to już będę czem chcesz.

Otóż raz w niedzielę zapowiedział Micio siostrzyczkom, że będą historyczne obrazy urządzać. Wandzia i Bronka aż w ręce klasnęły z radości. Zaraz też po obiedzie rozpoczęło się przedstawienie.

— A co to będzie za obraz? — spytała Wandzia, gdy Micio ustawiał rzędem stołki.

— Bitwa pod Grünwaldem — odpowiedział — patrz, te stołki, to Krzyżacy. Oni tak stoją murem i myślą, że nas zwyciężą odrazu, ale poczekajcie, Szwaby, my tu was na winne jabłko zbijemy. Ja będę Jagiełło.

— A ja będę Jadwiga — zawoła Bronka.

— To dopiero się zbajała — odrzekł Micio — czy nie wiesz, że Jadwiga umarła na lat dziesięć przed bitwą Grünwaldzką.

— A!... no, to czemu ja będę?

— Będziesz mistrzem krzyżackim, staniesz tu przed temi stołkami, ot tak! Nazywasz się Ulryk von Jungingen.

— Ja nie chcę być Krzyżakiem, bądź ty sobie mistrzem, a ja będę Jagiełłą.

— Stójże tu, mistrzu Jungingenie — mówił Micio — a ty, Wandziu, stań tu przy mnie, ty będziesz Witołdem, księciem litewskim; my idziemy razem na Krzyżaków. Ale poczekajcie, zapomniałem, że to mistrz krzyżacki w wigilię bitwy przysłał dwa miecze, dla Jagiełły i Witołda; żartował sobie z nich, niegodziwiec.

— Wiem, wiem — przerwała Bronka — powiedzieli ci posłowie Krzyżaków, że król polski nie ma pewnie czem walczyć z nimi, więc dwa dobre miecze przysyłają dla niego i księcia Witołda. Ale przez kogoż ja wam te miecze pošlę? kto będzie posłem?

— Możesz być sama posłem, potem będziesz mistrzem. Weź w pokoju ojca jakie laski, tam w kącie stoją, wiesz.

Bronka wybiegła i powróciła po chwili niosąc dwa ogromne kije, ledwo je udźwignąć mogła. Ceremonia oddania mieczów odbyła się bardzo uroczyście, Jagiełło namarszczył się straszliwie, podniósł do góry swoją broń i natychmiast rozpoczął atak na szeregi Krzyżaków. Walił z całej siły kijem o krzesła, potem je popychał, Witołd dopomagał mu dzielnie, a mistrz krzyżacki nawet

SIEROTKA.

nie bronił biedak swego wojska, tylko odskoczył w bok, bo król polski okropnie machał na wszystkie strony zwyciężającym swym mieczem.

— Poczekaj, poczekaj! nie schowasz ty się przedemną! — wołał bohaterski Jagiełło — zginiesz, musisz zginąć! Moja ukochana żona Jadwiga przed śmiercią przepowiedziała wam wszystkim zagładę!

A mówiąc to, tak się rozmachał okropnie, że książę Witołd, nie podobny z odwagi do wielkiego swojego imiennika, obawiając się, aby i jemu czasem się nie dostało, umknął w najdalszy kąt pokoju. Mistrz spostrzegł także, że to nie przelewki, zaczął uciekać, Jagiełło popełdził za nim, wymachując ciągle straszliwym mieczem.

Bronka wiedziała, że to wszystko dla dobra ojczyzny, więc nic nie mówiła, tylko uciekała, co sił starczyło, bo niebezpieczeństwo było okropne. Braciszek nie chciał jej pewnie nic złego zrobić, ale w zapale wojowniczym mógł o Bożym świecie zapomnieć. Tak pędząc, pośliznęła się biedna dziewczynka i tak nieszczęśliwie upadła, że skronią uderzyła o ostrą krawędź progu. Krew ją oblała, krzyknęła przeraźliwie, Wandzia zawtórowała jej głosem żalonym, a Micio dopiero wtenczas ochłonął nagle, rzucił kij i przestraszony zaczął ratować siostrzyczkę.

Nadbiegła mama, słysząc, że wrzawa wojenna nadzwyczajne przybiera rozmiary. Opatrzono ranę Bronki, na szczęście nie była niebezpieczna, ale zabawa w każdym razie przepadła, bo mama musiała wodę zimną przykładać dziewczynce do skroni, a gdy wszyscy ochłonęli z przestraszenia, porządna bura dostała się Miciowi.

— Tyle razy ci mówiłam — rzekła mama — że z panienkami trzeba się bawić przyzwoicie, a ty zawsze musisz wymyśleć jakieś szaleństwo.

— Ach, mamuniu, to nie było żadne szaleństwo, tylko obrazy historyczne — tłumaczył się Micio.

— Bitwa pod Grünwaldem — dodała Bronka.

— Tylko że ona była mistrzem krzyżackim — mówił dalej Micio — powinna była zginąć od razu, tak jak w historii, a ona chciała koniecznie uciec; cóż ja miałem robić? Ale ty nie gniewasz się na mnie, Broneczko?

— Nie, nie, cóż ty temu winien; to ja źle zrobiłam, żem zapomniała zginąć. Drugi raz, Miciu, ja już nie chcę być tym obrzydłym mistrzem.

— Drugi raz? — rzekła mama z przestraszeniem — czy jeszcze ci mało tej niedorzecznej zabawy?

— Alboż to niedorzeczność, mamusiu, obrazy historyczne? — mówił Micio — dziś trzeba już dać pokój, ale na przyszłą niedzielę zobaczycie, jakie śliczne rzeczy urządzimy. Będzie obrona Częstochowy, ks. Kordecki.

— Obrona Częstochowy! — zawołała Wandzia zachwycona, podskakując z radości.

— Obrona Częstochowy! ks. Kordecki! — wykrzyknęła Bronka i podskoczyła także na sofie, aż kompres z zimną wodą spadł na ziemię.

Mama tylko ramionami wzruszyła. Opowiemy wam wkrótce, jak się udała obrona Częstochowy.

Dwuletnia, a już sierota!
Bez rodzeństwa, sama jedna!
W domu pełno cacek, złota,
Ale Stefcia bardzo biedna,
Bo serduszko jej w żałobie,
Bo jej mama leży w grobie!
Pamięć matki dla niej święta,
Lecz prócz śpiewu na pogrzebie,
Ona matki nie pamięta...
Dziś jej tylko szuka w niebie!
Niema straty nad tę stratę,
Słyszac płacz dziecka małego,
Stefcia z żalem pyta: — Czego?
Wszak ma i mamę i tatę!

Gabryela Puzynina

(Ze zbioru: „Dzieci litewskie”.)

NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANĄ.

W pewnym kraju bardzo oddalonym i w czasach niezmierznie dawnych, panował król Dobromir z żoną Miłostawą. Mieli trzy córki, a wszystkie były cudnie piękne, i dobre, i roztropne. Najstarszą nazwano Iskierką, bo miała oczki śliczne, błyszczące, jak prawdziwe iskierki. Druga zwała się Perełką, bo białe jej liczko podobne było do perłowej macicy, trzecia Jagódka, zgadujecie pewnie, że była rumiana, jak wisienka.

Król i królowa wiedzieli, że piękność prędko przemija, pamiętali o tém, aby córkom staranne dać wychowanie, sprowadzili też na dwór swój wielkiego mędrca ze wschodu i ten różne nauki wykładał królowom. Mędrzec ten, nazwiskiem Abrakadabrus, szanowany był wielce na królewskim dworze.

Gdy królowy dorosły i rozniosła się wszędzie sława ich piękności i rozumu, ze wszystkich stron świata zaczęli się zjeżdżać królewicze, książęta, rycerze, którzy pragnęli pojąć je w małżeństwo. Ale królestwo oboje wcale się z tém nie śpieszyli, a i królowom tak było dobrze u rodziców, że nie miały ochoty rozstawać się z nimi. Przyjmowano gości uprzejmie, wyprawiano dla nich ucztę i zabawy, lecz gdy który oświadczył się o rączkę królowy Iskierki, lub Perełki, lub Wisienki, odpowiadano mu, że są jeszcze za młode. I królewicze, książęta, rycerze, odjeżdżali z nosami pospuszczanemi na kwintę.

Dnia pewnego cicho było i spokojnie na dworze, od tygodnia żaden nowy gość się nie pojawił; król i królowa radzi temu byli, bo już im się uprzykrzyły ciągłe ucztę i hałasy, siedzieli więc sobie na tronowych fotelach i podobno król Dobromir zdrzemnął się troszeczkę, paląc fajkę na długim cybuchu. Królowa Miłostawa wiazała prześliczną siateczkę ze złotych nici, przetykaną prawdziwymi perłami. Królowy siedziały w kółko na niskich krzeselkach i słuchały ciekawego jakiegoś opowiadania mędrca Abrakadabrusa.

A wtém straż na wieży zatrąbiła, odgłos innej trąbki

odpowiedział z daleka; to był znak, że gość jakiś zmierzają do zamku. Król ziewnął i oczy przetarł, niebardzo był zadowolony, że mu drzemkę przerywano, królowa opuściła siateczkę na kolana i westchnęła z cicha, bo lubiła ciszę domową. Królowy także się skrzywiły, bo Abrakadabrus przerwał opowiadanie w najciekawszym miejscu. Lecz cnota gościnności święcie była przestrzegana na dworze Dobromira i Miłosaławy, więc nikt niezadowolona nie okazał wyraźniej.

Trąbka ozwała się bliżej, a straż na wieży odegrała powitalną fanfarę. Do sali wbiegł paź królewski i oznajmił, że przybył królewicz Kryszałek, syn potężnego króla Bożydara i pyta, czy może złożyć pokorne swe służby królowi i jego rodzinie. Król Dobromir kazał natychmiast spuścić most zwodzony i prosić królewicza na zamek. Król Bożydar z dawien dawna był sprzymierzeńcem i przyjacielem Dobromira, chociaż teraz nie widywali się nigdy, bo każdy miał ważne sprawy stanu na głowie i nie mógł się wydaleć z kraju.

Paziowie otworzyli podwoje sali tronowej i wszedł królewicz Kryszałek ze swoim orszakem. Skłonił się najpierw przed królem Dobromirem, ten go uściskał po ojcowsku i zapytał o zdrowie dostojnego rodzica. Potem Kryszałek ucałował rękę królowej Miłosaławy i z kolei zbliżył się do królowien. Powitał dworskim ukłonem Jagódkę, potem Perełkę, każdej jakiejś piękne i grzeczne słówko powiedział, lecz gdy stanął przed Iskierką, zamilkł i tylko wpatrzył się w śliczną królowną, jak w tęczę. Ona pokraśniała i oczki spuściła, a Abrakadabrus, człek mądry i domyślny, uśmiechnął się i mrugnął, bo już przeczuwał, że królewicz Kryszałek, nim odjedzie, z pewnością oświadczy się o rękę królowy Iskierki.

Kryszałek był piękny i kształtny młodzieniec, strój miał świetny i okazały, lecz jakiś bardzo niezwykły, zrobiony całkowicie z materyi srebrzysto-białej, sztywnej, błyszczącej, naszywanej złotem i drogiemi kamieniami. Pas jego szczerozłoty lśnił cały od przepysznych brylantów, rubinów i innych klejnotów, na głowie miał rodzaj złocistego hełmu. Królowna Iskierka była troszkę zakłopotana i nie śmiała oczu podnieść na pięknego królewicza, ale Perełka i Jagódka przypatrywały mu się bardzo uważnie i ciekawie, zauważyły więc, że nawet obuwie miał osoblwsze, z jakichś blaszek urządzone, nakształt łuski. I dworzanie z orszaku królewicza przybrani byli podobnie, tylko nie tak bogato.

Dzień przeszedł bardzo przyjemnie, królewicz Kryszałek był miły, rozmowny, ośmielił się już nawet przemówić do Iskierki, a i ona także, choć się rumieniła, odpowiadała mu z uśmiechem. Oboje się sobie wzajemnie podobali, wszyscy to spostrzegli, król Dobromir patrzył z zadowoleniem na królewicza Kryszałka, szepnął nawet do ucha królowej, że chętnieby oddał rękę córki tak dzielnemu młodzieńcowi, a do tego synowi króla Bożydara, dawnego swego przyjaciela.

(d. c. n.)

Łamigłówka kryształowa. (Od Jerzynki dla Zygmunia).

1. Litera.
2. Ptak.
3. Przynęt do kąpielu.
4. Przedmiot potrzebny w podróży.
5.
6. Ptak.
7. Imię mężkie.
8. Narzędzie zmysłu.
9. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko słynnego kompozytora muzycznego polskiego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 11-go.

Homonimów:

Oda.

Skrzynka do listów.

Krakowiak bardzo ładnie i starannie liścik napisał, ale zadanie konikowe nie jest podług prawideł ułożone, trzeba się uważnie przypatrzeć naszym i drugi raz poprobować.

Jerzynka z Drewnicy musi być pilną i pracowitą osobką, dziękujemy jej serdecznie, że w wolnych od nauk chwilach o nas nie zapomina. Jerzynka pisałaby jeszcze ładniej, żeby większe literki stawiała. Radzimy szczerze wszystkim panienkom, aby się tych maczków wystrzegaly.

Sasanka leśna przekona się najłatwiej własnym doświadczeniem, że korespondencya z naszą redakcją nie ma w sobie *nic strasznego*, a serdecznie pragniemy, aby w niej przyjemność znalazła. Co do wierszyków, ach, kochana Sasanko! gdybyśmy chcieli drukować wszystkie, które nadsyłają, toby miejsca zabrakło. Z łamigłówkami jest toż samo, musimy tylko lepsze wybrać. Czy łamigłówka Sasanki okaże się taką, jeszcze nie wiemy sami.

Konwalia z nad Wisły ślicznie na swój wiek pisze, szczerze jej radzimy, aby tę porządną, wyraźną kaligrafią zachowała nadal.

Akacya odebrała już zapewne brakujący Nr, który powtórnie wysłano.

Sokołowi z pod Wawelu dziękujemy serdecznie za liścik z tyłu zajmujące wiadomości. Nr. żądany wysłany, trzeba zawsze wcześniej się upominać, bo po kilku miesiącach N-ra mogą być wyczerpane.

Skałkę z nad Teterowa upewniamy, że i my także radzibyśmy za wszystkie dobre odpowiedzi rozdawać nagrody, ale to niepodobna, a kto otrzymał pochwałę, smucić się przecież nie powinien. Do konkursów historycznych mogą należeć wszyscy czytelnicy do lat 15-tu.

Chrabąszcza prosimy o cierpliwość, łamigłówkę wydrukujemy, ale nie zaraz. „Przygody młodego chłopca” jeszcze nie doszły do połowy, a Chrabąszcz już końca wygląda? Jeżeli powiastka jest zajmująca, to pocóż ma się prędko kończyć?

Gwiazdkę z Czerwonéj Rusi i Chmurkę błękitną pozdrawiamy serdecznie, liścik odebrany.

Topolce Kazio przesyła ukłony, i przypomina przysłowie: ciekawość i. t. d. ŁamigłóWKi wydrukujemy, jeśli się okazaą bez omyłek.

Pisłzka z nad Gopla bardzo rozsądnie robi, że odpowiedzi na zadania pisać chce, nie myśląc wcale o nagrodzie. Czyż zresztą wzmianka, że ta odpowiedź była dobrą, nie jest także nagrodą? Zawsze ktoś musi być pierwszym, na to rady niema.

Synogarliczkę litewską z radością witamy w gronie korespondentek. Sroczece i Łasieccze przesyłamy pozdrowienie.

Wotynianka trafnie odgadła szaradę i łamigłówkę, dziękujemy bardzo za wiadomość, że doświadczenie fizyczne się udało. Co do kaligrafii, byle nie drobić zanadto, a z czasem dobrze będzie.

Niezapominajkę z nad Horynia upewniamy, że o żadnej z korespondentek nie zapominamy. Zadanie konikowe wydrukujemy.

Figlarka odgadła trafnie zadanie. Na każdy liścik zawsze choć słówko odpowiadamy, tylko trzeba czekać cierpliwie, bo niepodobna odpowiedzieć zaraz w następnym N-rze.

Róża alpejska nie odgadła, jakim językiem mówią koty. Za tydzień się to okaże. Dotąd nikt nie odgadł.

Muszka tak porządnie i czytelnie pisze, że liściki jej, choćby najdłuższe, z przyjemnością się czytają. My to musimy z żalem nieraz wielkim na krótkich odpowiedziach poprzestawać, dla braku miejsca. Za wiadomość o Rezedzie dziękujemy. Początek powieści „Prawdziwe Bogactwo” mieści się w kwartale IV r. 1885, może być nabyty za 1 rs. kop. 25.

Wilczyso nie może sobie wyobrazić, jak wielką nam przyjemność sprawił przysłaniem grupy rodzinnej, własnoręcznie wykonanej, i wszystkimi, dołączonymi do tego szczegółami. Długie liściki zwłaszcza tak porządnie pisane, zawsze odczytujemy z zajęciem, tylko na nieszczęście nie możemy dla braku miejsca długich odpowiedzi dawać i drukować długich korespondencyj. Dlatego to z żalem wielkim musieliśmy liścik Wilczyśka do Derkacza poobcinać niemiłosiernie.

Niezapominajkę z nad Wkry witamy serdecznie w gronie kochanych korespondentek naszych.

Świtezianka z nad Bohu przysłała zadanie konikowe, lecz nie według prawideł ułożone. Autorka „Prawdziwego bogactwa” sama już podziękowała wszystkim czytelnikom naszym za tak życzliwe przyjęcie tej pracy, niemniej jednak doniesiemy jej, że i Świtezianka należy do jej wielbicielk. „Księga pamiętnych czynów” pisana jest przez różnych autorów.

Świteziance i Jutrzence przesyła pozdrowienia Świtezianka z nad Bohu.

Niedźwiadek nadesłał trafne rozwiązanie zadania konikowego, listu siostrzyczki oczekujemy.

Żyrafa niesłusznie sądzi, że jej się rozwiązanie nie udało, dlatego, że nie otrzymała pierwszej nagrody. Wzmianka jest także nagrodą.

Kuropatwę z nad Ikopetiu prosimy, ażeby troszkę sobie główkę połamała i dowcipniejszą ułożyła łamigłówkę. A niech kochana Kuropatwa nie zapomni lat swoich wymienić, przysyłając wypracowanie. Ciooci ukłony zasylamy.

Zawierucha może śmiało pisywać co tydzień, zawsze odpowiedź otrzyma, choćby króciutką. Poezye redakcyja sama wybiera stosowne dla pisma.

Góralowi dziękujemy za opis Kurpiów z takim pysznym rysunkiem. Parę lat temu podaliśmy w „Wieczorach” obszerny artykuł o tej puszczy i jej mieszkańcach z rysunkami. Łamigłówki wydrukujemy o ile się okażą bez omyłek.

Córcze Mazurów i Ibisowi oraz innym ptakom kolegom przesyła pozdrowienie Orzeł z nad Wisły.

„Aurykla i Trawka pewnie się zadziwią, że jakiś nieznanymi pseudonym pozdrowienie im zasyła. Ale znam was z opowiadania pewnej osoby, a „Wieczory” dopiero od Nowego Roku czytuje, bardzo mi się podobają.

Konwalia.”

Konwalia musi lepszą łamigłówkę ułożyć dla Aurykli i Trawki, bo ltery bez znaczenia nie mogą wyrazów zastępować.

„Kochane Gwiazdko z Czerwonej Rusi i Kropelko Rosy! Ucieszyłam się bardzo, że mój pseudonym tak was zaciekawił. Spieszę wam donieść, że nazywam się Mania, mam lat 14, jestem najstarsza z ośmiorga rodzeństwa, mieszkam na wsi, w okolicy Ciechanowa życzliwa Wisienka”

Wisience donosimy, że Kropelka Rosy jest jej imienniczką ma lat 11, mieszka w Warszawie, Gwiazdka z Czerwonej Rusi ma lat 14 nazywa się Zosia, mieszka we Lwowie.

„Kochana Różyczko Polna! Ponieważ jesteśmy obie Różyczkami, więc wypada, abysmy się poznały. Przesyłam Ci pozdro-

wienie, szkoda, że w „Wieczorach” tylko króciutkie liściki umieszcząć można

Róża Alpejska”

Róży alpejskiej możemy donieść, że Różyczka polna nazywa się Stasia, ma lat 10 a Różyczce polnej, że Róża alpejska nazywa się Marynia, mieszka w Warszawie, lat nie wymieniła.

„Kochana Chmurko: Chciałabym być taką, jak ty, bo mi się za przykład stawiają. Nie znasz mnie, ale zgadnij, kto jestem, Szarotka”

„Moja Kropelko Rosy! Bardzo mi się twój pseudonym podobał i chciałabym cię poznać, choćby tylko przez „Wieczory”
Twoja Pliszka z nad Gopla”

„Kochany Smoku! Dziękuję ci za liścik, który mi wielką sprawił przyjemność. Znam dobrze twoją jaskinię pod zamkiem, mieszkamy tedy w sąsiedztwie, Radbym jednak wiedzieć, jak ci na imię, i którą dzielnicę miasta zamieszkujesz. Rodzeństwa nie mam, od Września chodzę do gimnazjum

Twój druh Sokół z pod Wawelu”

„Kochana Wisienko! Tak mi się podobał twój pseudonym, że muszę choć za pośrednictwem „Wieczorów” skreślić do ciebie słów parę. Ja nazywam się Kasia, kończę lat 13, mam młodszą siostrę Lułę. Przyjm serdecznego całuska od życzliwej Akacyi”

Akacya może odczytać liścik Wisienki, a dowie się o jej imieniu i wieku.

„Kochana Firletko! Zabrałaś mi nagrodę, bo ja napisałem prawie to samo, co i ty, tylko żeś ty wsunęła swoje konfiturki, których ja, jako chłopczyk, nie lubię i dlatego nie pomyślałem o nich. Starajmy się teraz zrobić drugie wypracowanie. Aurykla i Trawka przesyłają ci uściśnienia serdeczne

Życzliwy Zegarek”

„Kochana Niezapominajko z nad Horynia! Chciałabym cię poznać, a jeśli zechcesz, pisywać do siebie będziemy. Ja mieszkam na wsi, nazywam się Lola (Laura) mam siostrzyczkę i dwóch braciszków, polecam się twój pamięci

Lilia z nad Horynki”

Lili dziękujemy za rubla dla biednego ucznia. Niezapominajka nie Jadwiga, lecz Eugenia się nazywa.

„Kochana Trzpiotko! Nadzwyczajnie jestem zadowolona, że za pośrednictwem redakcyi mogę się z tobą poznać. Ja nazywam się Zosia, mieszkam na wsi, mam siostrę i dwóch braciszków, lubię listy odbierać, donieś mi o sobie i nie marudź z odpowiedzią
Rybka z Horynia”

„Ukochany Derkaczu! Wilczyso przesyła Derkaczowi przeciągłe au!! jako serdeczne pozdrowienie. Życzenie twoje, drobna ptaszyno, wejścia w stosunki z Wilczykiem, wprawiło mię w zdumienie, lecz przekonałem się, żeś zuch. Stosunki nasze niech będą nowym dla historii naturalnej przykładem, że nietylko krokodyl ale i Wilczyso może żyć w zgodzie z ptakami. Czekałam odpowiedzi

Wilczyśko”

Z podpisem A. C. przysłane zagadki historyczne na nic się nam przydać nie mogą. Jakiego urozmaicenia pisma żąda piszący zrozumieć trudno.

Pani Augustynie Podgórskiej Prenumerata kwartalna odebrana. Nazwisk w adresie wymieniać niema potrzeby.

Panu Kalinowskiemu w Hrózówku. Historia przestała wychodzić, 85 kop. pozostaje do rozporządzenia.

Panu J. Boguckiemu w Ananiewie Oleodruk Kościuszki wysłany, z przesyłką kosztuje rs. 2. Cena ram rs. 1, lecz przesyłka z ramami ze względu na odległość wyniosłaby rs. 4 przesyłaliśmy więc oleodruk bez ram, 3 rs. są do rozporządzenia

Klasztorowi w Jazłowcu. Z prenumeraty zeszłorocznej pozostało 75 kop. Ponieważ „Wieczory nie u nas są prenumerowane, za Nr. 6 wysłany na żądanie księgarni Gebethnera i Wolffa potrąca się 12 kop. pozostaje 63 kop.